

ŻYJEMY TU, NIE CZUJĄC POD STOPAMI ZIEMI

**O LITERATURZE ŁAGROWEJ Z PROF. DARIUSZEM TOŁCZYKIEM
ROZMAWIA ŁUKASZ MICHALSKI**



Ł.M. – Wśród autorów literatury łagrowej znaleźli się także ci, którzy może nie akceptowali łagrowej rzeczywistości, ale akceptowali system, który ją stworzył. Dysponujemy wieloma takimi relacjami. W dodatku ten poziom akceptacji daje się dość ciekawie stopniować. Istnieje także wiele opisów nie pochodzących wcale z autopsji, lecz stanowiących wypełnienie pewnej dyspozycji politycznej.

D.T. – Łagry sowieckie, w odróżnieniu od niemieckich kacetów, trwały przez długie dziesięciolecia i w tym czasie

ewoluowały. W doktrynie komunistycznej podstawową kategorią była klasa. Zakładano teoretycznie, że członkowie klas „wrogich”, które muszą ustąpić proletariatu, mogą się „poprawić” czy „zrozumieć swoje błędy”, a tym samym uzyskać nową „proletariacką świadomość”. W bolszewickim aparacie od początku istniała niewielka grupa ludzi wierzących w to, że poprzez „uczciwą pracę” i indoktrynację można członkom „straconych klas” zaoferować taką reedukację – czyli, jak to nieco później nazwano, *pierekówkę*.

Oczywiście, były to pobożne życzenia. Większość bolszewickich kadr po prostu śmiała się z takiego sposobu myślenia, jednak samo w sobie było to bardzo chwytliwe i wygodne hasło. Pozwalało pokazywać i uzasadniać cały system łagrowy w kategoriach jak najbardziej humanistycznych.

Na początku reedukacja dotyczyła niemal wyłącznie kryminalistów, nie zaś wrogów klasowych. Jeśli o tych ostatnich chodzi, to w początkowym okresie stosowano raczej „prostolinijny” język, mówiąc, że należy ich po prostu unicestwić. W obrębie tej frazeologii w dobrym tonie było nawet chwalenie się okrucieństwem, brutalnością. W literaturze sowieckiej w tym czasie jest bardzo wiele okrucieństwa i bezwzględności. Czekiści stali się nowymi bohaterami romantycznymi, tyle że już bez nuty sentymentalizmu – oni byli lepsi niż reszta społeczeństwa. Nie tylko powierzano im trudniejsze zadanie, ale także byli w stanie przetrwać zębne dla rewolucji, normalne odruchy moralne, które nadal „ciążyły” na normalnych ludziach. Taka retoryka była w latach dwudziestych powszechna. Na przykład Borys Pilniak, Eduard Bagricki, nie mówiąc już o Demianie Biednym i dziesiątkach innych autorów, pisali właśnie w ten sposób. Włodzimierz Majakowski bez przerwy wychwalał Czekę.



Ł.M. – Niewiele wiemy o tym, co w Sowietach było na pewnym etapie bardzo istotnym zjawiskiem – z naszej perspektywy absolutnie szokującym – czyli o oficjalnej, panegirycznej literaturze łagrowej. *Księga Kanatu Biełomorskiego* to chyba najsztywniejszy przykład – porażające są w niej nie tyle same opisy, co nazwiska autorów – jest to kwiat literatury rosyjskiej! Czy to był swego rodzaju „kontyngent”, który każdy pisarz sowiecki musiał „oddać”, czy też – na ile w ogóle w Sowietach było to możliwe – miało to charakter wolnego wyboru, świadomej decyzji?

D.T. – Na początku lat trzydziestych wyciszono całą krwiożerczą frazeologię rewolucyjną, a zamiast niej retoryką obowiązującą wobec całości tematyki GUŁagu stała się retoryka *pierekowki*, tzn. reedukacji, resocjalizacji. W tym czasie najliczniejszą kategorią więźniów byli rozkułaczani chłopci. Powstało pytanie: jak ich traktować? Czy jako „wrogów klasowych”, czy jako kryminalistów? W efekcie są oni przedstawiani jako jedni i drudzy jednocześnie. Bo ten, komu się skonfiskowało jego własność, a on zamiast być wdzięczny – stara się wciąż jej bronić, to nie tylko wróg klasowy, ale też „złodziej mienia społecznego”. Tym samym retoryka *pierekowki* dotyczyła już całości zjawiska GUŁagu, a nie tylko „klasycznych” kryminalistów, jak przedtem. Ten proces ma swój początek pod koniec lat dwudziestych – mniej więcej w roku 1928. Szczególnie dobrze widać to w przypadku obozu na Sołowkach. W 1929 r. Maksym Gorki, po ośmioletnim pobycie w Sorrento, odbywa podróż po Związku Sowieckim. Dysponujemy już osobistymi zapisami z jego dzienników, w których pisał: „*kak sobaka – wsio wižu, no mołczu*”. Niestety, na milczeniu się nie skończyło. Gorki pisze pochwalną, kompletnie zakłamaną laurkę dla OGPU. Mówi się, że była to odpowiedź na książkę niejakiego Malsagowa – tak przynajmniej twierdził Dmitrij Lichaczow, który w tym czasie był więźniem Sołówek, a potem jednym z największych historyków średniowiecznej kultury ruskiej. Malsagow był Czecczenem, oficerem białej gwardii, któremu udało się uciec z Sołówek, a następnie wydać w Londynie w 1926 r. książkę o tym obozie. I właśnie w celu propagandowego przeciwdziałania skutkom jej wydania zaaranżowano wizytę Gorkiego na Sołowkach, który miał swoje powody, żeby się przysłużyć reżimowi sowieckiemu. Zadanie wykonał ku wielkiemu zadowoleniu swoich sponsorów z Łubianki. Pojawiały się zresztą również inne, podobne opracowania. Na przykład zastępca komendanta obozu na Sołowkach, niejaki Matwiej Pogrebinski, napisał książkę *Fabrika ludiej*. W jego ujęciu nie była to bynajmniej fabryka śmierci, tylko „zakład odrodzenia”, miejsce wykuwania nowych sowieckich ludzi. A Nikołaj Pogodin stworzył w 1934 r. komedię o łagrach na Kanale Biełomorskim *Arystokraci*, wystawianą na wielu scenach, nie tylko w ZSRS. Według niej powstał film *Więżniowie*. To nowe podejście do GUŁagu to nie tylko wizyty pisarzy, artykuły w gazetach czy filmy. W tej propagandzie udział brali, pod naciskiem odpowiednich „zachęt”, także sami więźniowie. W łagrach powstawały liczne przedstawienia, wewnątrzłagrowa „prasa”, gazetki ścienne (oczywiście z „kącikiem humoru”), w których ofiary chwaliły swój los i swoich panów.

Sprawa *Biełomorkanatu* została oczywiście zainicjowana odgórnie. To był okres monopolizowania literatury rosyjskiej oraz tworzenia jednolitego i całkowicie kontrolowanego Związku Pisarzy Sowieckich. Chodziło już nie tylko o to, żeby wszyscy chwalili, ale także, by władza dokładnie kontrolowała, w jaki sposób chwalą. Nad inicjatywą napisania *Biełomorkanatu* patronat objęło z jednej strony – OGPU (sam Gienrich Jagoda był osobiście bardzo w to zaangażowany), a z drugiej – objęła grupa pisarzy przygotowujących formułę i program nowo powstającego związku literatów. Zaraz po ukończeniu budowy kanatu

w 1933 r. pojechało, by go obejrzyć, łącznie 120 pisarzy. Ta skala jednak coś pokazuje. Po tej ekskursji już tylko wybranych 36 pisarzy uczestniczyło w przygotowaniu kolektywnego tomu pod redakcją Maksyma Gorkiego, Leopolda Awerbacha (byłego szefa RAPP) i Siermiona Firina, który był komendantem obozu.

Ł.M. – Cóż za wspaniała, symboliczna *trojka!* I wzorowa współpraca między wielkim pisarzem, czynownikiem od sowieckiej literatury i komendantem łagru.

D.T. – Taka właśnie, kolektywna, była formuła „nowej literatury”. Miała ona stanowić broń przeciw wszystkim odzywającym się już za granicami głosem świadków, zbiegów, czyli ludzi ujawniających prawdę o GUłagu. To wszystko były relacje jednostkowe, a więc – jak sugerowano – subiektywne. Ich autorzy mogli mieć przecież antysowieckie uprzedzenia czy inne powody do krytyki systemu. A w przypadku *Księgi*, o której mówimy, jest to dzieło 36 pisarzy naraz! Pisarzy, którzy wzajemnie się uzupełniają, pomagają sobie i są wszyscy tego samego zdania...

Ł.M. – Pisarzy nie byle jakich, dodajmy...

D.T. – Właśnie. Czyli mamy tu „pełen obiektywizm”. Punkty widzenia tylu pierwszorzędnych pisarzy doskonale się nawzajem uzupełniają. Któż mógłby podważyć wiarygodność tego obrazu? Jeśli spojrzeć bliżej, mamy tu wielu nietuzinkowych twórców i równie wiele motywacji – na ile da się je dziś odtworzyć. Z jednej strony – Gorki, który w Związku Sowieckim miał status „boga od literatury”. (Nigdy w historii żaden pisarz nie był tak czczony za życia jak on w ZSRS. Jego imieniem nazwano miasto, nie mówiąc już o ulicach, kołchozach, fabrykach, instytutach, uniwersytetach i pomnikach. A Gorki był bardzo czuły na punkcie własnej sławy). Z drugiej strony – Wiktor Szktowski, wielki teoretyk literatury, formalista ostro wówczas krytykowany ideologicznie, który co prawda nie pojechał z całą grupą, ale potem zwiedził wszystko sam i dołączył się już na etapie tworzenia „dzieła”, miał zupełnie inne powody – konkretnie brata w GUłagu. (Liczył na to, że jeśli jego nazwisko znajdzie się wśród autorów, może uda mu się jakoś wyciągnąć brata z obozu). Jeszcze z innej strony – młody wówczas pisarz proletariacki, Aleksander Awdiejenko, który pisał potem o tej wizycie, że najbardziej zachwycało go to, że znalazł się wśród wielkich pisarskich tuzów epoki – Maksyma Gorkiego czy Michaiła Zoszczenki, Aleksego Tołstoja, duetu: Ilji Ilf i Eugeniusza Pietrowa – najgłośniejszych pisarzy w Związku Sowieckim w tym czasie. Z rozbijającą szczerością pisał: „Mogliśmy jeść kiełbasę, ser, kawior, owoce, czekoladę, piliśmy wino, koniak. I nie musieliśmy płacić!”. Były proletariusz nagle poczuł się „królem życia”. Co innego książkę Dmitriji Swiatopołk-Mirski. Był autorem *Historii literatury rosyjskiej*, którą do dziś studiuje się na uniwersytetach anglosaskich. Arystokrata, walczył w wojnie domowej, oczywiście po stronie białych, wyemigrował, wykładał na Oxfordzie, ale doszedł do wniosku, że wolałby jednak wrócić do ojczyzny. Tak zrobił i jego udział w *Biełomorkanale* można potraktować jako rodzaj „wkupnego”, chęć „zmasania win” – w końcu był nawróconym wrogiem i musiał udokumentować swoje nawrócenie. Nie sposób też nie wspomnieć o Brunonie Jasieńskim, byłym poecie polskim, a wówczas już sowieckim pisarzu wspinającym się po szczeblach kariery w państwowym aparacie literackim. Poza tym, rzecz wówczas normalna, kiedy proponowano komuś udział w takim przedsięwzięciu – a był to już rok 1933 – była to propozycja nie do odrzucenia.

Ł.M. – To jest trochę tak, jak z owym słynnym opisem uroków życia związanych z „pachnącą skórą legitymacją związku pisarzy” z *Mistrza i Małgorzaty*. Michaił Bułhakow wspaniale opisuje, jak lekko się żyje, będąc posiadaczem tego „cudownego kartonika”, a w podtekście, jak paskudnie trzeba się męczyć, nie posiadając go.

D.T. – Bułhakow odmówił uczestnictwa w tej imprezie. Ale był wyjątkiem. Trzeba jednak podkreślić, że odmówił i nic mu się nie stało.

Ł.M. – Czyli można było, jak się okazuje...

D.T. – Można było, aczkolwiek jest to reakcja wyjątkowa, zresztą Bułhakow starał się po prostu wytać. To nie była pryncypialna odmowa: „Nie pojedę, bo się z tym nie zgadzam!”. Tym niemniej była. Poza tym nie wiadomo, czy gdyby to zrobił ktoś inny, toby przeżył. Choć, patrząc z perspektywy historycznej, nie sposób się oprzeć ironii: wielu z tych, którzy wzięli udział – nie przeżyło następnych kilku lat, a Bułhakow – tak. Prawdopodobnie właśnie w GUŁagu stracił życie jego piewca Bruno Jasieński. Księcia Mirskiego rozstrzelano jako białego agenta. Z wymienionej już trójki głównych redaktorów nie ocalał nikt. Gorki zmarł w 1936 r. chyba śmiercią naturalną, choć nie jest to pewne. Awerbach i Firin zostali rozstrzelani. Podobnie jak bardzo wielu pisarzy biorących udział w wychwalaniu najpierw okrucieństw rewolucji, a potem GUŁagu.

Ł.M. – Czy wiemy coś o rzeczywistych odczuciach i reakcjach autorów, będących jednak ludźmi inteligentnymi i wrażliwymi, często doskonale wykształconymi, co ważniejsze – w większości świetnie pamiętającymi Rosję carską? Czy pozostały jakieś świadectwa, choćby ułamkowe, wskazujące na, mówiąc wprost, wyrzuty sumienia? Czy oni uświadamiali sobie, jak gigantycznej w gruncie rzeczy podłości się dopuszczają?

D.T. – To jest pytanie zbyt ogólne, w każdym z przypadków trzeba by udzielać osobnych odpowiedzi. Pierwszy z brzegu przykład – Aleksander Fadiejew, czołowy „aparaczyk” od literatury za czasów Stalina. Nie wytrzymał i popełnił samobójstwo, i to w momencie, gdy nic mu już nie groziło – w 1956 r., po referacie Chruszczowa. Nie wspominając o tym, że podczas swojej kariery kompletnie się zapijał.

Ł.M. – Podobnie jak Majakowski... Czy dysponujemy podobnymi, jak zapis w dziennikach Gorkiego, relacjami innych osób?

D.T. – Sztuka życia i przeżycia w Związku Sowieckim, zwłaszcza za Stalina, polegała na ciągłym kłamstwie i ukrywaniu prawdziwych emocji czy myśli. Tak więc możemy polegać głównie na fragmentarycznych, anegdotycznych źródłach lub prywatnych zapiskach. Byli tacy, którzy nauczyli się sami wierzyć w to, co ciagle mówili.

Ł.M. – Gorkiego za czasów carskich nazywano „sumieniem narodu”. Wydaje mi się, że on jest symbolem tego, co zrobiono z inteligencją rosyjską w czasach komunizmu. Z drugiej strony wiadomo, że pozycja pisarzy czy poetów w Rosji była niezwykła, nieporównywalna do innych krajów, i to grubo przed nadejściem bolszewików. Stąd

tym bardziej istotna wydaje mi się próba dokonania pewnej generalizacji, czy mimo wszystko istniało w nich poczucie haniebnosci tej sytuacji? A może pragnienie napisania prawdy? Czy sowieccy twórcy próbowali, choćby w nielicznej mniejszości, w jakiś sposób „odkupić” swoje zaprzeczenie zła, to literackie „firmowanie” największej w dziejach ludzkości zbrodni, choćby przez twórczość „do szuflady”?

D.T. – Jak się wyraził Sołżenicyn: „w Rosji literatura to druga władza”. Rzecz w tym, że „rząd dusz” można rozmaicie rozumieć i sprawować. Można się sprzymierzyć z totalitarną władzą i powtarzać sobie, że w ten sposób uczestniczy się w przekształcaniu umysłów, chociaż, oczywiście, jest się w tym procesie tylko narzędziem. Albo odwrotnie – można mimo wszystko mieć nadzieję, że ludzie kiedyś się wyzwolą z całego tego szaleństwa, prawda wypłynie na wierzch i wówczas rząd dusz stanie się (choćby pośmiertnie) udziałem tych, którzy tę prawdę głosili lub chociaż zapisali w tajemnicy. A jeśli chodzi o poczucie hańby, to istniały na to różne sposoby, z których podstawowym była po prostu wódka – w ten sposób zagłuszano sumienie. Fadiejew jest tu świetnym przykładem, ale w gruncie rzeczy to była powszechnie stosowana przez sowieckich literatów metoda. I wcale nieprzypadkowo.

Ł.M. – Była to próba „ogłuszenia duszy”?

D.T. – Po skali zjawiska sądząc, tak. Przykłady są niezliczone – weźmy choćby Aleksandra Twardowskiego. Jego ojciec i brat gniją w GUłagu i na zsyłkach, a on w tym czasie robi wielką karierę literackiego aparatczyka. Przecież wiedział doskonale, choćby przez swoje rodzinne doświadczenie, co jest ten cały system wart. Gdy przyszła chruszczowowska odwilż, chwycił się nawet najślabszej nadziei, że może jednak komunizm da się jakoś zmienić, polepszyć. To przecież on wylansował w ZSRS Sołżenicyna i próbował poszerzać granice wolności słowa po odwilży... I jednocześnie nieustannie zagłuszał myśli alkoholem. Pisarze, którzy współpracowali z systemem w czasach stalinowskich, dostarczali usprawiedliwień, tworzyli propagandę i zakłamywali rzeczywistość – czynili to w większości ze zwykłego strachu. Choć nigdzie nie jest powiedziane, że człowiek piszący koniecznie musi zaraz publikować swoje płody i posiadać tę „cudowną, pachnącą świeżą skórą legitymację”. Pamiętajmy jednak, że pisarze cenieni przez władzę cieszyli się ogromnymi przywilejami. W stosunku do realiów sowieckich warunki, jakie im stwarzano, były po prostu egzotyczne. Z niczym nieporównywalne. Te daczki w Pieriedielkinie, osobne sklepy, mieszkania, gosposie, pensje, samochody itd. Na Zachodzie porównywalne standardy mogli zdobyć jedynie autorzy bestsellerów. To była niezwykle kusząca perspektywa. Zwłaszcza dla pisarzy ambitnych i niekoniecznie komercyjnych. W Związku Sowieckim taki posłuszny pisarz mógł mieć warunki, o jakich na Zachodzie nie mógłby nawet marzyć. I choć generalnie trzeba było być cenionym, a co najmniej zauważonym przez władzę, by taki status uzyskać, to jednak kryteria na pewnym poziomie przestawały być jasne. Stalin dużo czytał, bardzo cenił literaturę i miał do niej osobisty stosunek. Miał swoje gusta, np. nie bardzo podobała mu się literatura awangardowa. Wolał zdecydowanie dziewiętnastowieczną, tradycyjną stylistykę, ale umiał docenić dobrego pisarza. Za młodu pisał wiersze po gruzińsku i znawcy przedmiotu twierdzą, że to były całkiem niezłe utwory. Potrafił – sam dla siebie – rozróżnić pomiędzy czyjąś polityczną przydatnością a talentem literackim. I zależało mu na pozyskaniu wielkich pisarzy, a nie miernot – np. długo czekał, zanim zniszczył Osipa Mandelstama, a Bułhakowa nie pozwolił tknąć. Podobnie jak Borysa Pasternaka. Chodziło o to,

by jego czasy sławili wybitni twórcy, a nie literaccy wyrobownicy. Krótko mówiąc, rozumiał, że *ars longa, vita brevis*.

Ł.M. – Padło tu nazwisko Mandelsztama, a to prowadzi nas znów ku literaturze łagrowej, choć on sam takowych dzieł nie stworzył. Jest jednak doskonałym symbolem „literatury uwięzionej w łagrze”, a więc losu niezależnej twórczości w ZSRS. W obrębie literatury łagrowej istnieją co najmniej trzy różne podejścia do GUłagu. Sołżenicyn w *Archipelagu GUłag* rozróżnia trzy kategorie twórców literatury łagrowej. Pierwszą są ortodoksyjni komuniści, którzy – jego zdaniem – nic nie zrozumieli, bo nie chcieli zrozumieć. Drugą grupę stanowiły osoby, które doskonale rozumiały, co się wokół nich dzieje, ale cynicznie przedstawiały to równie fałszywie – Sołżenicyn nazywa to literaturą *pridurków* (czyli tych, którzy byli w obozie funkcyjnymi i niezbyt ciężko pracowali „pod dachem”; zazwyczaj byli to komuniści). Dopiero trzecią kategorią jest to, co można by nazwać „normalną” literaturą ofiar, najlepiej symbolizowaną przez Wartama Szafłamowa i samego Sołżenicyna. Nawet więc wśród ludzi, którzy doświadczyli piekła GUłagu, z trzech kategorii autorów, co najmniej dwie ten świat zakłamują. To dość przerażające.

D.T. – Zetknąłem się z ludźmi, którzy przeszli przez GUłag, przez całe to sowieckie piekło i następnie czynili wszystko, żeby komunizm podtrzymać, choć doskonale wiedzieli, z czym mają do czynienia. Jest to zjawisko tajemnicze, które możemy rozmaicie tłumaczyć. Głównie chodzi chyba o strach. Ci ludzie wiedzieli, co sowiecki reżim jest w stanie zrobić z tymi, którzy mu się narażają. A więc tylko posłuszeństwo daje cię nadziei na coś zblizonego do normalnego życia w tym systemie. Widać dużą różnicę między komunistami „krajowymi” a tymi, którzy przeszli przez to wszystko, a potem znaleźli się takim czy innym sposobem na Zachodzie i tam opublikowali swoje wspomnienia – jak Aleksander Weissberg, Margaret Buber-Neumann czy Elinor Lipper. Oni dawno wyzbyli się złudzeń i pisali prawdę. Podobnie Aleksander Wat, gdy znalazł się na Zachodzie. A byli więźniowie – publikujący w ramach systemu (np. dzięki jakiejś „odwilży”) – starali się kluczyć i przynajmniej sprawiać wrażenie popleczników władzy, która ich do łagru wsadziła. Ciekawym przykładem takiego kluczenia jest Eugenia Ginzburg. Przystąpiła do pisania pierwszego tomu książki *Stroma ściana (Krutoj marszruł)*, zamierzając go opublikować w Związku Sowieckim, zachęcona przykładem *Jednego dnia Iwana Denisowicza* Sołżenicyna. I od początku wiedziała, że pewnych rzeczy nie można napisać, że są pewne granice. Niedawno Wasilij Aksjonow, syn Eugenii Ginzburg, pytany o wstęp, napisany przez nią do pierwszego tomu *Stromej ściany*, o te wszystkie zachwyty nad „powrotem leninowskiej prawdy” po okresie „kultu jednostki” itp., odpowiedział: „*Eto malieńkaja chitrost*” – rzecz w tym, by oszukać cenzurę, bo samo w sobie świadectwo jest bezwzględnie demaskujące. Drugi tom z założenia miał się ukazać na Zachodzie (autorka „poszła w nim na całość”, pisząc tak, jak było, ale w końcu nie zgodziła się na jego publikację za swego życia). Ale i pierwszego nie udało się opublikować w ZSRS, ostrożność okazała się mimo wszystko niewystarczająca.

Ł.M. – To, co Sołżenicyn zarzuca literaturze *pridurków*, to z jednej strony swoiste „ulukrowanie” GUłagu, a z drugiej wizja, wedle której kto był „przyzwoity”, czyli pozostał „dobrym komunistą”, zostawał owym *pridurkiem* (co akurat jest prawdą w pewnym sensie), a na roboty ogólne – czyli do wykańczalni – trafiała „kryminal-

na swołocz” i prawdziwi „wrogowie ludu” – innymi słowy, słusznie tam trafiali. Jest w tym monstrualny fałsz i pojawia się natychmiast pytanie: czy w jakimś sensie ta literatura nie jest niebezpieczniejsza niż oficjalne panegiryki na cześć NKWD i GUłagu?

D.T. – Mówimy tu o takich autorach, jak Georgij Szelest, Borys Diakow czy Aleksander Ałdan-Siemionow, którzy wydali swoje utwory na fali chruszczowowskiej odwilży i są to świadectwa pisane z perspektywy więźniów pozostających wierzącymi komunistami. Te teksty doskonale ilustrują odwilżową linię i krytykę czasów Stalina. Chruszczow krytykował Stalina nie za masowe mordy, kolektywizację, wielki głód, łagry itp., ale za to, że podniósł rękę na partię i sowiecką elitę. Najlepszym potwierdzeniem słuszności chruszczowowskiej linii były świadectwa komunistów, którzy siedzieli w GUłagu, ale mimo to nie zwątpili w system. Wspomniani autorzy wypełniali to zamówienie. Rzeczywiście to są, przynajmniej teoretycznie, bardzo „przekonywujące” utwory, bo piszą je ludzie posiadający „autorytet” wynikający z osobistego doświadczenia więźnia-ofiary. To nie jest fikcja, to nie są już „ustawiane” wizyty pisarzy z wolności. Innymi słowy, relacje te mają solidny potencjał wiarygodności, a takie zafałszowanie jest tym groźniejsze. Oskarżają one (nieżyjącego) Stalina o to, że jego przemoc, brutalność dotyczyła właśnie komunistów. Szelest opisuje, jak to pod koniec wojny, czy tuż po jej zakończeniu, przywieziono do łagru nowych więźniów i, wymieniając ich, pisze, że byli to „własowcy, ukraińscy kolaboranci, rozmaici wrogowie”, jednym słowem, *wsiakaja faszystskaja nieczist’* i kilku „naszych ludzi”, tzn. komunistów. Ten podział jest bardzo wiele mówiący – mamy dwie kategorie więźniów: „hołotę” i „ludzi”.

Ł.M. – Czy ta literatura „przebiła się”, czy też poniosła klęskę? Czy dzisiaj jeszcze jest czytana?

D.T. – Literatury *pridurków* dziś już się nie pamięta i nikt, kto nie jest specjalistą, właściwie jej nie zna. Być może, gdyby taką relację napisał twórca obdarzony wielkim talentem, tego typu teksty dalej by funkcjonowały. Problem jednak jest głębszy. Sam przedmiot tych, przeważnie literacko słabych, świadectw nie jest wymyślony. To nie jest tak, że nie było więźniów-komunistów, którzy nawet w łagrach w dalszym ciągu nie popierali partii i systemu. Ginzburg na przykład pokazuje świetnie swoje towarzyszeki, komunistki w łagrach i znakomicie analizuje ten problem na sobie samej. Autorka jako przekonana komunistka trafiła do więzienia, potem łagru i dopiero wówczas rozpoczął się w niej cały proces powolnego odzyskiwania normalnej świadomości.

Ł.M. – Także Sołżenicyn taki proces przeszedł. Gdy go aresztowano, był przekonującym marksistą-leninistą.

D.T. – Na tym przykładzie widać, w jak ogromnym stopniu język wartości ludzi wykształconych w Sowietach został przeżarty ideologią i retoryką marksistowsko-leninowską. Wiele osób nie potrafiło znaleźć innego języka, żeby wyrazić jakieś wartości. To jest przerażające. Ginzburg bardzo subtelnie analizuje i opisuje swoje reakcje oraz cały ten bolesny proces stopniowego wydobywania się z „oparów ideologii”. Na początku brakuje jej nawet języka etycznego, w którym mogłaby uświadamiać sobie własną sytuację. Co się z nią dzieje? Kto tu jest zły, a kto dobry? O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?

Ginzburg „odzyskuje język”, sięgając do literatury, zwłaszcza rosyjskiej, przedrewolucyjnej, ale nie tylko. Starła się swoją sytuację i cały otaczający ją świat wewnętrznie definiować od nowa, posługując się językiem dawnej poezji. Podobnie jak Sołżenicyn, zaczyna układać wiersze. Tworzy od nowa własny język, który nie jest już marksistowską nowomową. Korzenie tego języka tkwią w literaturze, w poezji. Można powiedzieć, że ten zabieg wyprowadził Ginzburg z „niewoli umysłu”, w której była zanurzona wcześniej. I nagle ten „dobry” (na mocy aksjomatu) system przestaje być „dobry”, a otaczający ją w łagrze ludzie stają się w jej oczach ludźmi, a nie przedstawicielami tej czy innej ideologicznej kategorii. Jest tam taki ciekawy fragment, w którym autorka zastanawia się: „gdybym była w więzieniu gestapo, to bym wiedziała, co myśleć, ale jak tu się zachować i co myśleć w »swoim własnym więzieniu?«”. To jest zresztą psychologicznie najtrudniejszy moment – przełom. Właśnie dlatego tak często pojawiało się przekonanie, że „wszyscy pozostali są winni, tylko ja jeden siedzę niewinny. Partia się generalnie nie myli, czasem jedynie popełnia jednostkowe błędy”. Ludzie wierzący w komunizm szukali w ten sposób dróg wyjścia, bronili się przed rozpadem światopoglądu, popadnięciem w szaleństwo. Można to jeszcze uogólnić i powiedzieć: „my, komuniści, jesteśmy niewinni, ale reszta siedzi słusznie”. Jeśli się jednak takich wytłumaczeń nie przyjmuje, trzeba szukać nowego języka dla określenia siebie samego i sytuacji, w jakiej się znalazło. To jest naprawdę trudne, tu zagrożone jest po prostu poczucie własnego „ja”. W sytuacjach skrajnego zagrożenia ludzie chwytają się starych, sprawdzonych tłumaczeń, choćby nawet były jawnie absurdalne. Odrzucić ten język to znaczy stać się bezbronnym i starać się określić samego siebie na nowo – to wymaga wielkiej odwagi, zwłaszcza w momencie krańcowego zagrożenia fizycznego. Ginzburg doskonale opisuje nie tylko własne doświadczenie w łagrze, ale i innych komunistek, które starają się ciągle podtrzymywać ten podział: „my, komunistki, czyli niewinne ofiary, i reszta – czyli winni przestępcy i wrogowie ludu”.

Ł.M. – Dla Sołżenicyna doświadczenie łagrowe stało się moralnym wyzwoleniem, obudziło w nim człowieka, zgodnie ze stwierdzeniem, że „prawdziwa wolność w świecie niewoli zaczyna się dopiero w więzieniu”. Dla Szafamowa, niewątpliwie ciężej i dłużej więzionego w najstraszliwszych z możliwych warunkach – na Kołymie – łagier nie niesie ze sobą niczego pozytywnego. Innymi słowy, wszystkie doświadczenia łagrowe człowieka zubażają. Ten spór, czy też pytanie, jest jednym z najważniejszych, jakie w ogóle można sobie zadać w kontekście całej – nie tylko obozowej – dwudziestowiecznej literatury.

D.T. – W istocie jest to podstawowe pytanie o człowieka, jego kondycję. Pytanie, czy człowiek poddany presji absolutnego zniewolenia, zdeptania godności, wycieńczenia organizmu i stałego zagrożenia fizycznego przetrwania potrafi na tym doświadczeniu zbudować coś pozytywnego i wzmocnić się wewnętrznie, czy też jest to sytuacja niszcząca człowieczeństwo, udowadniająca zarazem, że nasze wyobrażenia o człowieku nie są do niej w ogóle adekwatne i tym samym powinny zostać zakwestionowane.

Sołżenicyn w *Archipelagu GUŁag* nawiązywał świadomie do romantycznej tradycji więzienia, tzn. przekonania, że więzienie może być momentem zwrotnym w życiu, po którym człowiek może się odrodzić moralnie, że jest to swego rodzaju inicjacja. Najwspanialszy przykład takiego myślenia mamy we własnej literaturze: zmarł Gustaw – narodził się Konrad. Sołżenicyn sam stwierdza, że nie dane mu było – na szczęście – dotknąć „dna”. Tymczasem argument Szafamowa da się sprowadzić do stwierdzenia „gdybyś, człowieku, wylądował na Kołymie

i tam przez dwadzieścia lat umierał w kopalni, nie myślałbyś w ten sposób”. Sołżenicyn ten argument uznaje. W medycynie trucizna podana w niewielkich ilościach może być lekarstwem, natomiast po przekroczeniu pewnej dawki staje się bezwzględnie zabójcza. Wnioski Szafamowa opierają się na osobistym doświadczeniu i niezliczonych obserwacjach, potwierdzonych w dodatku przez innych autorów. Charakterystyczne jest to, że autorzy takich świadectw nie potępiają samych siebie. Nie mówią: „to doświadczenie zabiło we mnie człowieka, stałem się bydlęciem”. Ale ci najciekawszy i najwybitniejsi widzą ten proces także u siebie.

Ł.M. – Ale Szafamow, prawdę mówiąc, tak „nie brzmi”.

D.T. – Szafamowowi brak tonu moralnego oburzenia, choć pisze z punktu widzenia człowieka doprowadzonego już poza pewną granicę. Wrażliwość moralna jego narratora jest tak stępiona w łagrze, że po prostu zauważa on fakty (nieraz przerażające), opisuje je, ale nie ocenia. Rzeczy dla nas wstrząsające są u niego „normalne”.

Ł.M. – Z Sołżenicynem łatwo jest się zgodzić, bo jego konstatacja daje nadzieję. On zdaje się mówić, że „z tego bagna można wyjść z pozytywnymi doświadczeniami”. Ostrzeżenie Sołżenicyna, przy całej swojej grozie, brzmi jednak mniej przerażająco niż ostrzeżenia Szafamowa.

D.T. – To dlatego, że Sołżenicyn źródła opisywanego zła zidentyfikował w ideologii z którą się rozprawia. Tym samym wierzy, że wyjście z ideologii wystarczy, stanie się skuteczną kuracją. Tymczasem dla Szafamowa problem tkwi w naturze ludzkiej, w nas. Sołżenicyn, widząc w człowieku i dobro, i zło, twierdzi, że ideologia pozwala na rozwinięcie złej strony człowieka, przede wszystkim poprzez dostarczanie usprawiedliwień dla zła. W efekcie zło można wyrządzać na skalę nieograniczoną, ponieważ wszystko usprawiedliwi ideologia. Ale po pokonaniu ideologii jest możliwy powrót do moralnego *status quo ante*. Szafamow sięga do samych korzeni ludzkiej natury i ludzkich motywacji. Moralne odruchy, pozytywne emocje i świadomość wartości budzą się w człowieku dopiero wtedy, gdy ma on względne poczucie fizycznego bezpieczeństwa i komfortu oraz gdy spotyka się z ludzkim zachowaniem bliźnich. Pozbawiony tego wszystkiego człowiek w pewnej chwili przestaje być człowiekiem i staje się stworzeniem, którego on sam nie jest w stanie pojąć ani kontrolować. Do takich odkryć doprowadził wielki dziejowy eksperyment „przekuwania” człowieka w GUłagu.



Rys. z książki S. Mory i P. Zwierniaka *Sprawiedliwość sowiecka*